

Nocne lowy

Słowo "proizwol" jest już dzisiaj prawdopodobnie nie znane więźniom sowieckim, ostatnie dni jego panowania przypadły bowiem w większości obozów rosyjskich na koniec roku 1940. W bardzo lapidarnym skrócie oznacza ono rządy więźniów w zadrutowanej strefie obozowej od późnego wieczoru do świtu.

"Pionierski" okres sowieckich obozów pracy trwał zasadniczo, z drobnymi odchyleniami zależnymi od warunków lokalnych, od roku 1937 do roku 1940. "Tridcat' siem" stanowi w świadomości starych więźniów rosyjskich, którzy mieli szczęście przeżyć lata Wielkiej Czystki i "budownictwa socjalistycznego w jednym kraju" opartego na masowym użyciu pracy przymusowej, datę podobną do narodzenia Chrystusa w świadomości chrześcijanina lub zburzenia Jerozolimy w umyśle ortodoksyjnego Żyda. "To było w trzydziestym siódmym" – te słowa wypowiedziane szeptem pełnym grozy i nie zabliźnionego jeszcze cierpienia słyszałem ciągle po przyjeździe do obozu, jakby chodziło o rok głodu, pomoru, zarazy, pożogi i wojen domowych. W kalendarzu rewolucyjnym istnieje cały szereg takich przełomowych wypadków historycznych, których jednak – jak przystało na styl nowej ery – nie określa się na ogół datami. U ludzi bardzo starych punktem zwrotnym jest Rewolucja Październikowa i ona to z większą dozą słuszności mogłaby uchodzić za początek Nowej Ery, od którego przy użyciu słów "przed" i "po" liczy się wszystko, co zaszło kiedykolwiek w dziejach ludzkości. Zależnie przy tym od nastawienia mówiącego "przed" i "po" oznaczają albo nędzę i dostatek, albo dostatek i nędzę; w obu wszakże wypadkach wszystko, co działo się w Rosji przed szturmowaniem Pałacu Zimowego w Petersburgu, tonie jednakowo w półmroku prehistorii. Ludzie młodszy (mówię oczywiście ciągle o obozach) liczą czas inaczej. Dla nich "za cara" znaczy już bezspornie "nędza, niewolnictwo i ucisk", a "za Lenina" "biały chleb, sachar i sało". Te kamienie milowe, umocnione w prymitywnej świadomości historycznej głównie za sprawą opowiadań ojców, przemawiają także czasem do archeologa z kapitalistycznej planety innymi napisami: po okresie wstępnej szczęśliwości przychodzi okres Głodu i Kolektywizacji, który nie oszczędził ani jednej rodziny na Ukrainie; w ślad za latami Swobody i Zapału idą lata Terroru i Strachu, wstrząsane periodycznymi kataklizmami Powszechnych Czystek i poprzetykanymi nazwiskami Kirowa, Jagody, Jeżowa, Zinowjewa, Kamieniewa, Trockiego i Tuchaczewskiego. Pomarszczona od niewidzialnych wstrząsów skorupa ziemska układa się wówczas w wyraźne pasma górskie, z których spływają w doliny potoki krwi i łez. Po każdej takiej krwawej irygacji na jałowych zboczach górskich wyrasta nowa Władza, a przerwy pomiędzy cyklicznymi łańcuchami wypełnia ze słabnącym lub rosnącym natężeniem Okrążenie Kapitalistyczne. Stalin unosi się nad Epoką poleninowską jako okrutny Arcykapłan, który ukradł z ołtarza bogów święty płomień rewolucji.

Pierwsi moi towarzysze obozowi, inżynier rolnik Polenko i teletechnik z Kijowa Karboński (pierwszy został skazany za sabotaż kolektywizacji, a drugi za kontakt listowny z krewnymi w Polsce), należeli właśnie do niedobitków Starej Gwardii z trzydziestego siódmego roku. Z ich opowiadań wynikało, że obóz kargopolski – który w chwili mojego przybycia składał się z kilkunastu "uczastków", rozrzuconych w promieniu kilkudziesięciu kilometrów i liczących w sumie około trzydziestu tysięcy więźniów – założyło cztery lata temu sześciuset więźniów, wysadzonych którejs nocy w pobliżu stacji Jercewo, w dziewiczym lesie archangielskim. Warunki były ciężkie: mróz dochodzący w zimie do czterdziestu stopni Celsjusza poniżej zera (co w tej okolicy nie jest zjawiskiem niecodziennym), wyżywienie nie przekraczające trzystu gramów czarnego chleba i jednego talerza gorącej zupy na dobę i mieszkanie w szałasach z gałęzi jodłowych, skleconych po parę wokół płonącego bez przerwy ogniska; jedynie uzbrojeni konwojenci mieszkali w małych domkach ruchomych na płozach. Więźniowie zaczęli swą pracę od tego, że oczyścili małą porębę i wzniesli pośrodku polany niewielki barak szpitalny. Właśnie wówczas okazało się, że samookaleczenie przy pracy daje rozżarzonego do czerwoności piecyka żelaznego; ale ilość nieszczęśliwych wypadków przy pracy była tak duża, że poranionych trzeba było niemal codziennie odstawiać na saniach do szpitala w miejscowości Niandama, odległej o kilkadziesiąt kilometrów od Jercewa. Jednocześnie rosła w zastraszający sposób śmiertelność. Najpierw zaczęli umierać komuniści polscy i niemieccy, którzy zbiegli z krajów rodzinnych, szukając schronienia przed więzieniem w Rosji. Patrząc na śmierć Polaków było – zdaniem moich dwóch towarzyszy – rzeczą znacznie straszniejszą niż obserwować gorączkowe, przedśmiertne majaczenia Niemców. Komuniści polscy (przeważnie Żydzi) umierali nagle, jak ptaki spadające w czasie mrozu z gałęzi, albo raczej jak głębinowe ryby oceaniczne, które pękają od wewnętrznego ciśnienia, gdy je spod ucisku wielu atmosfer wody wydobyć na powierzchnię. Jedno krótkie kaszlnięcie, ledwie dosłyszalne zakrztuszenie się i koniec. Małeńki biały obłoczek pary zawisał na chwilę w powietrzu, głowa opadała ciężko na piersi, ręce zaciskały kurczowo dwie kule śniegu. I nic więcej. Ani jednego słowa. Ani jednej prośby. Po nich przyszła kolej na Ukraińców i "nacmenów" (mieszkańców środkowej Azji, to jest Kazachów, Uzbeków, Turkmenów i Kirgizów). Najlepiej trzymali się rdzenni Rosjanie, Bałtowie i Finowie (którzy piją, jak wiadomo, świetnie las), podwyższono im więc dzienne racje o sto gramów chleba i dodatkową chochlę zupy. W czasie pierwszych paru miesięcy, gdy wysoki stopień śmiertelności i prymitywne warunki obozowania nie pozwalały konwojentom prowadzić dokładnego wykazu więźniów, w szałasach przetrzymywano nieraz po parę dni zlodowaciałe trupy, pobierając na nie w brygadach chleb i talony na zupę. Baraki rosły na polanie, którą otoczono już drutem kolczastym, a codziennie brygady "lesorubów" wzmacniane świeżymi posiłkami z więzień wgrzyzały się coraz bardziej w puszcę jodłową, znacząc swój ślad umarłymi i drewnianym torem dla samochodów i sań; zbudowany jest on w ten sposób, że na niewysokim nasypie zbite mocno deski jodłowe tworzą coś w rodzaju trotuaru dla przechodniów, a dwie półokrągłe belki przymocowane są do wierzchu i ciągną się równolegle do siebie w odległości odpowiadającej wewnętrznemu rozstępowi osi w samochodzie

lub w saniach; koła bądź płozy poruszają się wolno na torze po zewnętrznej stronie drewnianych szyn i chronione są przez nie w ten sposób od ześlizgnięcia się na boki; co kilkadziesiąt metrów tor przecięty jest w dwóch miejscach na długość normalnego pojazdu i osadzony na śrubie zwrotnicowej. W roku 1940 Jercewo było już dużym centrum kargopolskiego ośrodka przemysłu drzewnego z własną bazą żywnościową, z własnym tartakiem, z dwiema bocznicami kolejowymi i z własnym miasteczkiem za zoną dla administracji i straży obozowej. Wszystko to zbudowane zostało rękami więźniów.

Tych dawnych, "pionierskich" czasów sięga również tradycja "proizwołu"¹. Gdy nie było jeszcze zamykanych na noc szop, w których więźniowie składają po pracy ostre narzędzia (piły, siekiery i topory), a kontrola strażników nie sięgała po zmroku poza koniec bagnetu lub świetliste ostrze reflektora, część narzędzi wędrowała wieczorem do baraków. Pierwsze zastępy "urków", przybyli do obozu w roku 1938, wykorzystały ten stan rzeczy, aby proklamować w zonie od zmierzchu do świtu małą "republikę więźniów" z własnymi sądami kapturowymi. Żaden strażnik nie ośmielił się pojawić między barakami i nocy nawet wówczas, gdy do jego uszu dochodziły straszliwe jęki i krzyki mordowanych więźniów politycznych; nigdy przecież nie wiadomo było, zza jakiego baraku wychyli się i roztrzaska mu łeb ciężki obuch toporzyska. Ponieważ dochodzenia dzienne dawały prawie zawsze bardzo nikłe rezultaty, polityczni zorganizowali własne oddziały samoobrony i ta wojna domowa między wykolejonym proletariatem a inteligencją rewolucyjną przetrwał podobno ze słabnącym stopniowo natężeniem do początków roku 1939. Był to czas, kiedy nowoczesne urządzenia techniczne i wzmocnione załogi obozów pozwoliły nareszcie NKWD uchwycić inicjatywę w swe ręce. W roku 1940 szczątkowe formy "republiki więźniów" istniały już tylko po to, żeby ułatwić "urkom" nocne łowy na nowo przybyłe kobiety. Półtora roku temu bowiem założony został w obozie pierwszy barak kobiecy. Trzeba tu oddać sprawiedliwość NKWD, które przyglądało się na ogół temu chrzestnemu tarłu przez palce, że dozwalało tylko na polowanie w zonie; drzwi do baraku kobiecego znajdowały się na odległość celnego strzału z wartowni. Nowo przybyłe kobiety były na ogół uprzedzane przez stare "łagiernice" o grożącym niebezpieczeństwie, ale zdarzały się wypadki, że nie dawały tym ostrzeżeniom wiary. Skargi zanoszone nazajutrz po wypadku na wartownię były przyjmowane drwinami, a zresztą któraś rozsądna kobieta miała ochotę narazić się na bezlitosną, ślepą mściwość "urków" w obozie? Dowiadywała się od razu na wstępie, jakie są reguły walki o życie w obozie i ulegała im instynktownie, nie wychodząc z baraku po zmroku lub szukając sobie możnego opiekuna wśród prześladowców. Na początku roku 1941 nocne łowy zostały również ukrócone przez NKWD. Życie stało się dla jednych znośniejsze, a dla innych "użasno skucznoje".

Rozdział "Nocne łowy", s. 34-39.

Praca

W praktyce bardzo niewiele było w obozie więźniów wyznających zasadę, że lepiej mniej pracować i mniej jeść. W znakomitej większości wypadków metoda wyciskania z więźniów maksymalnego wysiłku fizycznego przy minimalnej podwyżce racji żywnościowej działała gładko i sprawnie. Człowiek głodny nie filozofuje, gotów jest zrobić wszystko, aby zdobyć dodatkową łyżkę stawy. (...) W brygadach pracujących zespołami po trzech lub czterech więźniów najgorliwsiymi stróżami normy byli sami więźniowie, gdyż normy obliczało się również zespołowo, dzieląc je przez ilość pracujących. (...) Było w tym wszystkim coś nieludzkiego, coś łamiącego bezlitośnie jedyną więź łączącą, zdawałoby się, więźniów w sposób naturalny – ich solidarność w obliczu prześladowców. (s. 56)

Męka życia więziennego nie kończyła się w baraku, wprost przeciwnie, zamieniała się dopiero w torturę myśli o śmierci. Ale miała w sobie tajemniczy – pociągający i odpychający zarazem – urok intymności cierpienia. Leżąc samotnie na pryczy, można się było nareszcie poczuć wolnym – wolnym od pracy, od współtowarzyszy więziennych, od czasu, który płynął jak stygnąca smoła. Tylko w więzieniu łatwo jest zrozumieć, że życie bez czekania na cokolwiek nie ma najmniejszego sensu i wypełnia się po brzegi rozpaczą. Czekając na samotność, baliśmy się jej jednocześnie. Była ona jedyną namiastką wolności (...) (s. 59)

My sami zresztą dbaliśmy usilnie o to, aby nas nie pozbawiano i tych skromnych pozorów wolności; tak silne jest w każdym więźniu pragnienie ocalenia najnędrniejszych choćby resztek własnej woli, że zapominając o naczelnym w obozach zasadzie samoszczędzania się, uważają za przywilej nieomal ciche prawo uświęcania bezgranicznego wyzysku pracy niewolniczej aktem własnej zgody. Jak gdybym tu słyszał Dostojewskiego: "Cały sens słowa aresztant oznacza człowieka bez woli; a wydając pieniądze, działa on już z własnej woli". Różnica była tylko jedna: nie mieliśmy pieniędzy, ale mieliśmy za to resztki sił do pracy i płaciliśmy nimi za zachowanie najskromniejszych pozorów człowieczeństwa (...) (s. 64)

(...) ludzi strzegących zazdrośnie tajemnicy swojego wyroku uważano bądź za zbyt dumnych, by ich dopuścić do zażyłości więziennych, bądź za potencjalnych donosicieli. (67)

¹ Pewien komunista besarabski opowiadał mi, że w roku 1938 był naocznym świadkiem potwornego skatowania Karola Radka, kto padł ofiarą "proizwołu" w obozie na Wyspach Sołowieckich.

Ochłap

Dla setek tysięcy Gorcewów bolszewizm jest jedyną religią, jedynym poglądem na świat, jakiego nauczono ich w dzieciństwie i młodości. Ludzie typu Zinowjewa, Kamieniewa czy Bucharina mogli przeżywać swoje "odszczerpienie ideologiczne" jako jedną z największych klęsk, która odebrała nagle ich życiu wszelką treść, mogli cierpieć, czuć się zdradzonymi lub nawet załamać się – ale przecież mimo wszystko musieli mieć jeszcze dość miar porównawczych, dość dawnego krytycyzmu, aby w chwilach trzeźwości spojrzeć na to, co się z nimi i wokół nich działo, z boku i jak gdyby z historycznego oddalenia. Dla ludzi z gatunku Gorcewów załamanie się wiary w komunizm, jedynej wiary, jaką się dotąd w życiu kierowali, musiało być równoznaczne z pozbawieniem ich pięciu podstawowych zmysłów, którymi poznaje się, określa i ocenia otaczający świat. Toteż uwięzienie nie mogło być dla nich prawie nigdy bodźcem do złamania ślubów kapłańskich; traktowali je raczej jak przejściową klauzurę za naruszenie dyscypliny zakonnej, wyczekując dnia zwolnienia z jeszcze większą uległością i pokorą w sercach. Fakt, że musieli ją spędzać w piekle, nie świadczył o niczym; a raczej świadczył o tym, że piekło istnieje naprawdę, i biada tym, których za grzechy przeciwko naukom Boga Ojca spotyka wygnanie z raju. (s. 68)

Po tym odkryciu Gorcewowi przydzielono w brygadzie leśnej najcięższą pracę: walenie jodeł "łuczkiem". Dla człowieka nienawykłego do pracy fizycznej w ogóle, a do pracy w lesie szczególnie, jest to pewna śmierć, jeśli go się przynajmniej raz dziennie nie zmienia i nie odsyła do palenia gałęzi. Ale Gorcewa nie zmieniano. Piłował codziennie jedenaście godzin, upadając wielokrotnie ze zmęczenia, łapiąc jak topielec powietrze, plując coraz częściej krwią, nacierając sobie rozpaloną twarz śniegiem. Ilekroć się buntował i ciskał desperackim ruchem piłę na bok, brygadier podchodził do niego i mówił spokojnie: "Wracaj do pracy, Gorcew, bo cię skończymy w baraku". Wracał więc. Więźniowie przyglądali się jego torturom z tym większą przyjemnością, im dłużej trwały. Mogli go rzeczywiście skończyć w ciągu jednego wieczoru – teraz, gdy mieli już pozwolenie z góry. Ale chcieli za wszelką cenę przedłużyć jego śmierć w nieskończoność, chcieli, by poznał dokładnie to, do czego sam niegdyś posyłał tysiące ludzi.

Gorcew próbował jeszcze walczyć, choć musiał już przecież wiedzieć, że jego walka jest równie daremna, jak daremna była niegdyś walka jego ofiar na śledztwie. Poszedł do lekarza po zwolnienie, stary Matwiej Kiryłowicz nie zapisał go nawet na listę. Odmówił raz wyjścia do pracy, odesłano go na dwie doby do izolatora o samej wodzie, a trzeciego dnia siłą wypędzono do lasu. Porozumienie działało sprawnie – obie strony dopełniały uczciwie swoich zobowiązań. Gorcew włókł się codziennie na samym końcu brygady, chodził półprzytomny i brudny, gorączkował, w nocy jęczał przeraźliwie, pluł krwią i płakał jak małe dziecko, w dzień żebrał o litość. Dostawał trzeci kocioł, żeby zabawa potrwała dłużej; nie wyrabiał go wprawdzie, nie wyrabiał już nawet pierwszego kotła, ale brygada nie żałowała mu swoich procentów, aby pod-tuczyć ofiarę. Wreszcie pod koniec stycznia, po miesiącu, stracił przytomność przy pracy. Zachodziła obawa, że tym razem nie będą już mogli nie odesłać go do szpitala. Woziwoda, który jeździł codziennie do lasu z "primbludą" dla stachanowców i przyjaźnił się z brygadą leSORubów, miał go zabrać po skończonym dniu pracy do żony. Wieczorem brygada leśna ruszyła wolnym krokiem w kierunku żony, za nią zaś – w odległości kilkuset metrów – wlokły się sanie z nieprzytomnym Gorcewem. Nie dojechał już nigdy do żony, na wartowni bowiem okazało się, że sanie przyszły puste. (s. 71-73)

Zabójca Stalina

Przyglądałem się jeszcze chwilę tym dwóm twarzom, przedzielonym szklistym kwiatem lodu. „Zabójca Stalina” wpatrywał się w każdą zupę wzrokiem, w którym natężyły się wszystkie, śmiertelnie zziębnięte, władze umysłu i ciała. W jego twarzy malował się nadludzki wysiłek przypomnienia sobie czegoś, zrozumienia czegoś. Wyostrome rysy zdawały się na próżno przebijać przegrodę ze szkła. Słabnący, urywany oddech łzawił się na tafli lodu, podobny do ogromnego, zamglonego oka. Nagle cofnął prawą rękę jak do uderzenia. Zatrzymałem go w pół ciosu. [...]

– Ja zabiłem Stalina! – Głos jego przeszedł teraz w chrapliwy, obłąkany skowyt szaleńca. – Ja, ja, ja... Zastrzeliłem, jak psa zastrzeliłem... – zaśmiał się z gorzkim tryumfem.

Był za słaby, by zrozumieć wszystko. Ale był jeszcze niestety dość silny, by zrozumieć tyle, ile potrzeba do powolnej, dławiącej za gardło śmierci.

Przed nią zaś, jak ostatni sakrament, chciał wziąć na siebie zbrodnię, której nie popełnił, czyn, którego nie dokonał. Przez tyle długich lat nie wiedział, za co cierpi. Dziś zapragnął się przyznać, zapragnął się zmieścić w okrutnym i niezrozumiałym wyroku losu, który mu przedłożono do podpisu siedem lat temu. Broniąc się przed nieznaną przyszłością, szamocąc się w siłach terażniejszości, ratyfikował nałożoną nań przeszłość. Aby choć na chwilę przed skonem uratować jeszcze poczucie realności i wartości swego gasnącego istnienia. (s. 78, 79)

Ręka w ogniu

... że zaś zupełnie bez nadziei żyć nie można, znalazł rozwiązanie w dobrowolnym, prawie sztucznym męczeństwie.

Dostojewski, Zapiski z martwego domu

Wbrew temu, co się przypuszcza, cały system pracy przymusowej w Rosji – łącznie ze śledztwem, pobyt w więzieniu i życiem w obozie – nastawiony jest, bardziej niż na ukaranie przestępcy, na jego wyeksploatowanie gospodarcze i całkowite przeobrażenie. Tortury na śledztwie nie są stosowane jako zasada, ale jako środek pomocniczy. O co chodzi naprawdę, to nie tyle o wymuszenie na oskarżonym podpisu pod zmyślnym i fikcyjnym likiem oskarżenia, ile o kompletną dezintegrację jego osobowości.

Człowiek budzony co nocy – na przestrzeni długich miesięcy, a czasem nawet i lat – pozbawiony w czasie śledztwa prawa załatwiania najelementarniejszych potrzeb fizjologicznych, trzymany godzinami na twardym krześle, oślepiiony skierowaną prosto w oczy żarówką, kluty podstępными pytaniami i niesamowitym crescendo urojonych zarzutów, drażniony sadystycznie widokiem papierosów i gorącej kawy na stole – gotów jest podpisać wszystko. Nie o to jednak chodzi. Więźnia można uważać za "spreparowanego" do ostatecznego zabiegu dopiero wtedy, gdy widać już wyraźnie, jak jego osobowość rozpada się na drobne części składowe: pomiędzy skojarzeniami powstają luki, myśli i uczucia obluźniają się w swych pierwotnych łożyskach i klekocą jak w zepsutej maszynie, pasy transmisyjne łączące teraźniejszość z przeszłością obsuwają się z kół napędowych i opadają na dno świadomości, wszystkie dźwignie i przekładnie intelektu i woli zacinają się, strzałki w zegarach pomiarowych skaczą jak oszalałe od zera do maksimum i z powrotem. Maszyna kręci się dalej na zwiększonych obrotach, ale nie pracuje już tak jak dawniej – wszystko, co wydawało się oskarżonemu przed chwilą absurdem, staje się rzeczą prawdopodobną, choć ciągle jeszcze nieprawdziwą, uczucia zmieniają barwę, napięcie woli znika. I to, że pisywał listy do krewnych za granicą, może być zdradą interesów proletariatu, i to, że zaniedbał się w pracy, może być sabotażem budownictwa socjalistycznego. Dla sędziego śledczego nadchodzi moment decydujący. Jeszcze jeden celny cios w zdrętwiały rdzeń oporu i maszyna stanie. Człowiek uspiiony pod narkozą zawisa na ułamek sekundy w próżni, niczego nie czuje, o niczym nie myśli, niczego nie rozumie. Trzeba działać szybko jak przy sztucznym szoku nerwowym lub przy przelewaniu krwi, gdy na okamgnienie serce pacjenta przestaje bić. Małe przeoczenie, drobna zwłoka, a pacjent obudzi się na stole operacyjnym i zbuntuje się lub – załamię i pograżę w wiecznej apatii. Teraz, teraz albo nigdy! Oczy sędziego śledczego szukają jedyne, przygotowywanego na tę właśnie chwilę dowodu rzeczowego, ręce chwytają go jak lancet. Jeszcze parę godzin temu ten argument mógł się wydawać błahy, choć w przeciwieństwie do innych nie pozbawiony pewnych podstaw, teraz w wyjąłowanej wyobraźni oskarżonego urasta do gigantycznych rozmiarów. Lancet trafił na właściwe miejsce i tnie głębiej. W nieprzytomnym pośpiechu chirurg wycina serce i przestawia je z lewej strony na prawą, usuwa zakażone płyty kory mózgowej, przeszczepił skrawki skóry, zmienia bieg krwi, wiąże na nowo poszarpane nerwy. Za chwilę mechanizm ludzki, zatrzymany w punkcie zerowym i rozłożony na najdrobniejsze części zostanie złożony na powrót, ale już inaczej; luki pomiędzy skojarzeniami wypełnią inne wiązania, myśli i uczucia dopasowane zostaną dokładnie do innych łożysk, pasy transmisyjne zaczną przekazywać nie przeszłość teraźniejszości, ale teraźniejszość przeszłości, instynkt i wola zmienią kierunek działania, wskazówki w zegarach pomiarowych zatrzymają się na zawsze w maksimum. Oskarżony ocknie się z odrętwienia, zwróci zmęczoną, lecz uśmiechniętą twarz ku swemu dobroczyńcy i westchnąwszy głęboko powie, że teraz wszystko rozumie, że błędził dotąd przez całe życie. Zabieg się udał, pacjent został nowo narodzony. Jeszcze raz tylko, gdy po powrocie do celi stanie nad kibelem i oddając powstrzymywany przez parę godzin mocz, poczuje na czole kropelki potu, a w całym ciele ulgę i odprężenie, zawaha się chwilę, czy snił, czy przeżywał może swoją reinkarnację na jawie. Po raz ostatni w życiu zaśnie z tym uczuciem męczącej niepewności, nazajutrz bowiem koło południa obudzi się pusty jak wydrążony orzech i osłabiony po nieludzkim wysiłku całego organizmu, ale olśniony myślą, że ma już nareszcie wszystko za sobą. I kiedy zacznie chodzić między pryzkami, nie odzywając się do nikogo, można być pewnym, że stawia pierwsze kroki w innym już świecie – rekonwalescent o zablizniwiających się szybko ranach i zrastającej się na nowo osobowości.

Okres pomiędzy ukończeniem śledztwa a wyrokiem zaocznym, po którym następuje zazwyczaj szybki wyjazd do obozu, upływa oskarżonemu w celi na przystosowywaniu się do nowej sytuacji. Instynkt podpowiada mu, że nie należy wdawać się w rozmowy z więźniami, którzy nie przeżyli jeszcze Wielkiej Przemiany – szwy na jego ranach są bowiem jeszcze zbyt świeże, aby wytrzymać szarpnięcia rozdrapujących je rąk. Niczego się tak podświadomie nie boi jak chwili, w której nowa rzeczywistość runie od jednego uderzenia niby kruchy domek z kart, a jakiś atawistyczny, przywalony gruzami starego świata głos popchnie go do drzwi celi z zaciśniętymi pięściami i rozpaczliwym okrzykiem: "Skłamałem, skłamałem! Odwołuję? wszystko! Puśćcie mnie do sędziego śledczego, ja chcę do sędziego śledczego! Jestem niewinny, jestem niewinny!" Jeżeli szczęśliwy los pozwoli mu uniknięcia tej chwili – tej straszliwej chwili, w której stary mózg okaże jeszcze dość siły, aby zrozumieć, że nowe serce bije inaczej i gdzie indziej niż dawniej, niwecząc w ten sposób pracowite dzieło miesięcy lub nawet lat – więzień może obojętnie i spokojnie leżeć całymi dniami na pryczy, czekając na transport do obozu. W tym stanie somnambulicznego odrętwienia dostrzega po paru dniach w chłodnym murze swego własnego więzienia wąską szczelinę, przez którą sączy się wątłe światło ostatniej nadziei. Zaczyna marzyć o obozie. Zrazu nieśmiało, a potem coraz i gwałtowniej nieznanym głosem – drogie relikwie dawnego życia, jedyny dowód, że było i mogło być inaczej – ludzie go wizją swobodnego życia w obozie, wśród ludzi, którzy nie wszyscy przecież zapomnieli o przeszłości. Liczy teraz głównie na dwie rzeczy: na pracę i na litość. Nie o litość dla siebie mu chodzi – to, co przeżył, uważa w gruncie rzeczy za zwycięstwo. Czuje jednak niejasno, że jeśli ma

ocalić nic łączącą go z zamierzchłymi czasami, w których był inny, to musi wzbudzić w sobie za wszelką cenę litość dla współtowarzyszy niedoli, współczucie dla cudzych cierpień, jedyny sprawdzian tego, że odmieniwszy się, nie przestał być człowiekiem. "Czy można żyć bez litości?" – pyta po nocach sam siebie, przewracając się z boku na bok i pocierając niespokojnie czoło, jak gdyby usiłował przypomnieć sobie, czy niegdyś doznawał na myśl o cudzym nieszczęściu takiego samego uczucia bolesnej obojętności jak teraz, gdy narodził się po raz drugi. Czy można żyć bez litości?

Obóz nauczył go, że można. Będzie z początku dzielił się ostatnią kromką chleba z więźniami bliskimi obłędu głodowego, będzie prowadził z pracy pod rękę chorych na "kurzą ślepotę", będzie wzywał pomocy, gdy jego towarzysz odrąbie sobie na "lesopowale" dwa palce u ręki, będzie ukradkiem zanosił do "trupiarni" zlewki z zupy i główki od śledzi; po paru tygodniach spostrzeże się jednak, że robi to wszystko nie z bezinteresownego odruchu litości, lecz z egoistycznego nakazu rozumu – próbuje ratować przede wszystkim siebie, a dopiero potem innych. Obóz, ze swoimi wewnętrznymi obyczajami i systemem utrzymywania więźniów tuż poniżej dolnej granicy człowieczeństwa, dopomocze mu w tym niemało. Czy mógł być przypuszczać, że można poniżyć człowieka do tego stopnia, aby budzić do niego nie litość, ale wstręt nawet wśród współwięźniów? Jakże litować się nad "kurzymi ślepcami", gdy się ich widzi codziennie potrącanych kolbami karabinów i opóźniających powrót do żony, a potem spychanych niecierpliwie z wąskiej ścieżki obozowej przez więźniów spieszących do kuchni; jak odwiedzać "trupiarnię", pograżoną w wiecznym mroku i zgniłym fetorze ekskrementów; jak dzielić się chlebem z głodnym, który już nazajutrz przywita cię w baraku obłąkanym i natarczywym spojrzeniem? Po dwóch lub trzech miesiącach takiej walki więźniów usiłujących po Wielkiej Przemianie przetrwać ostatnim wysiłkiem woli linkę ratowniczą w unicestwioną na śledztwie przeszłość, poddaje się i po raz pierwszy słucha bez sprzeciwu utyskiwań na pryczy, że "barachło w trupiarni żre cudzy chleb, nie pracując", "kurzy ślepcy zatarasowują wszystkie przejścia w obozie i obniżają wyработку po zmroku", a chorzy na obłęd głodowy powinni siedzieć w izolatorze, bo niedługo już zaczną kraść chleb. Miał więc rację sędzia śledczy, gdy mówił, że żelazna miotła sprawiedliwości sowieckiej zmiata do obozów jedynie śmiecie, a ludzie prawdziwie godni tego imienia potrafią dowieść, że popełniono w stosunku do nich omyłkę. Ostatnia nic pękła, wychowanie zostało skończone. Pozostaje już tylko eksploatacja taniej pracy przymusowej i jeżeli "pieriewospitannyj" więzień zdoła przeżyć osiem lub dziesięć lat katorgi niewolniczej, można go będzie bez chwili wahania posadzić za stołem sędziowskim, naprzeciwko przyszłego oskarżonego, który zajmie kiedyś jego dawne miejsce.

Są jednak i tacy, którzy w momencie tej ostatniej próby budzą się nagle i przystają na rozdrożu, aby dostrzec z przeraźliwą jasnością, że ich oszukano. Nie przekonano ich, nie nawrócono – zniszczono ich jako ludzi, wypalono w nich gorącym żelazem wszystkie uczucia ludzkie! Wszystkie – z wyjątkiem jednego. Jest już za późno, żeby doskoczyć do drzwi z okrzykiem: "Ja chcę do sędziego śledczego, jestem niewinny!", ale jest jeszcze dość wcześnie, aby w miejsce pokonanej litości rozdmuchać w stygnącym popiele własnego życia wysoki płomień z ostatniej iskiereki człowieczeństwa – z dobrowolnego i prawie sztucznego męczeństwa.

Rozdział "Ręka w ogniu", s. 91-95.

Głód

Z moich obserwacji obozowych wynika, że kobiety znacznie gorzej znoszą głód fizyczny i seksualny niż mężczyźni. Proste prawo życia obozowego głosiło tedy, że łamiąc opierającą się kobietę głodem fizycznym, zaspokajają się jej obie potrzeby naraz. Mówię o tym bez cienia cynizmu. Jeżeli wspomnianie tego wszystkiego, co działo się w Europie w czasie ostatniej wojny, ma mieć w ogóle jakiś sens, to trzeba, abyśmy zapomnieli na chwilę o zasadach zwykłej moralności, jaką żyli nasi dziadkowie i ojcowie w drugiej połowie dziewiętnastego wieku i w pierwszych dziesiątkach lat stulecia, które zdawało się urzeczywistniać na naszych oczach pozytywistyczny mit postępu. Ortodoksyjni marksiści twierdzą, że nie istnieje w ogóle moralność absolutna, gdyż wszystko, co dzieje się z człowiekiem, uwarunkowane jest jego położeniem materialnym. Znaczyłoby to, że każda epoka, każdy kraj i każda klasa społeczna tworzą swoją własną moralność lub że wszystkie te trzy czynniki razem tworzą coś, co nazywamy niepisanym kodeksem postępowania ludzkiego w danym miejscu na ziemi. Doświadczenia niemieckie i sowieckie potwierdzają do pewnego stopnia to przypuszczenie. Okazało się mianowicie, że dolna granica instynktownej wytrzymałości i przebiegłości ciała ludzkiego, poza którą zwykliśmy dotąd liczyć na moc charakteru lub świadome działanie wartości duchowych, nie istnieje w ogóle; słowem – że nie ma takiej rzeczy, której by człowiek nie zrobił z głodu i bólu. Ta "nowa moralność" nie jest już kodeksem uczciwego postępowania ludzkiego, ale kodeksem umiejętnego postępowania z ludźmi, i najeżona dziś wyostrzonymi kłami, tradycją swą sięga jeszcze do ząbkującej dzieciennie Inkwizycji hiszpańskiej. Nie przecożamy zbyt pospiesznie tego faktu. Wspólne w obu tych nurtach jest przeświadczenie, że człowiek pozostawiony sam sobie – bez wiary w objawiony system wartości duchowych lub narzucony system wartości materialnych – jest bezkształtną kupą gnoju. Rewolucja genetyczna Łysenki odwróciła pokrewne w gruncie rzeczy tendencje w Kościele katolickim. Tam człowiek ginie w odmętach grzechu i potępienia, jeśli nie spłynie nań światło łaski nadprzyrodzonej, tu może być taki, jakim go uczynią zmienione sztucznie warunki przyrodzone; i tu, i tam jednak jest bezwolnym przedmiotem w czyichś rękach, a od wstępnego sformułowania celu życia ludzkiego na ziemi zależy jedynie, czy na kupie gnoju wyrośnie żądany okaz hodowli biologicznej, czy błogosławiony kwiat duszy ludzkiej. Osobiście nie należę ani do ludzi, którym potworne przeżycia wojenne kazały złożyć akces do "nowej moralności", ani do ludzi, którzy widzą w nich jeden więcej dowód tego, jak kruchą istotą jest

człowiek we władzy Szatana. Przekonałem się wielokrotnie, że człowiek jest ludzki w ludzkich warunkach, i uważam za upiorny nonsens naszych czasów próba sądzenia go według uczynków, jakich dopuścił się w warunkach nieludzkich – tak jakby wodę można było mierzyć ogniem, a ziemię piekłem. Rzecz jednak w tym, że kiedy chcę obiektywnie opisać obóz sowiecki, muszę zstąpić do najgłębszych czeluści piekieł i nie szukać na przekór faktom ludzi tam, gdzie z dna wody letejskiej spoglądają na mnie twarze umarłych i żyjących może jeszcze towarzyszy, przekrzywione drapieżnym grymasem osaczonych zwierząt i szepczące zsiniałymi od głodu i cierpienia wargami: "Mów całą prawdę, jacyśmy byli, mów, do czego nas doprowadzono".

Na obronę kobiet wypada jednak może dodać, że moralność obozowa – jak każda zresztą moralność – wytworzyła również swoją własną hipokryzję. I tak na przykład, nikomu by do głowy nie przyszło obwiniać o cokolwiek młodego chłopca, który dla polepszenia swej doli został kochankiem starej lekarki, ale ładna dziewczyna oddająca się z głodu odrażającemu starcowi z "chleboriezki" była, rzecz prosta, "bladzią". Nikt nie kwestionował jako "prostytuowania się" dobrego prawa niemal wszystkich brygadierów i techników do comiesięcznego wypłacania się donosami w Trzecim Oddziale, ale kobieta wychodząca za zonę do naczelnika była " prostytutką", i to najgorszego typu, bo łamiącą solidarność więźniów wobec ludzi wolnych. Było rzeczą naturalną, że nowo przybyły więzień oddawał brygadierowi resztki swego ubrania z wolności, aby uzyskać pewne względy przy procentowym obliczaniu normy (od którego zależała wysokość racji obozowej) i podziale pracy, ale gorszyło niektórych, gdy uboga dziewczyna, uginająca się pod ciężarem topora w lesie, oddawała mu pierwszego lub drugiego wieczoru wszystko, co posiadała, czyli własne ciało. Ta hipokryzja zależała zresztą najczęściej od charakteru przedobozowych powiązań środowiska. Więźni kradnący chleb swemu towarzyszowi zginąłby prawdopodobnie pod razami "urków", którzy byli na ogół najwyższymi prawodawcami i sędziami w zakresie etyki obozowej; ale wśród Polaków znany był pewien ksiądz, ukrywający swą godność duszpasterską w łachmanach więźnia, który za spowiedź i rozgrzeszenie brał 200 gramów chleba (czyli o 100 gramów mniej niż stary Uzbek wróżący z ręki) i chodził po swojej parafii w aureoli świętości. Gdy się zastanawiam nad przyczynami tego złożonego i trudnego zjawiska, dochodzę do wniosku, że w każdym większym skupisku ludzkim istnieje podświadoma dążność do wleczenia pod pręgierz "opinii publicznej" przychwyconych na gorącym uczynku ofiar, aby się tym tanim kosztem nieco samemu wybielić. Kobiety nadawały się do tego znakomicie, bo rzadko miały szansę kupczenia czym innym poza własnym ciałem, a poza tym przyniosły ze sobą do obozu obciążenie konwencjonalnej obłudy moralnej z wolności, w myśl której każdy mężczyzna biorący kobietę w trakcie w czasie pierwszych paru godzin flirtu uważany jest zazwyczaj za zabójczego uwodziciela, a każda kobieta oddająca się świeżo poznanemu mężczyźnie uchodzi za ładacznicę.